

Warszawa dnia $^4/_{16}$ Stycznia 1867 roku.

Nr 3. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.



Kościół Świętego Wita w Pradze Czeskiéj. (do str. 20).—(Rysował Kozarski—Wycięto w drzeworytni Minchejmera).

SUKCESSOROWIE,

Opowiadanie garbuska.

(*Dalszy ciąg* — Patrz Nr. 1 i 2).

Przez cały dzień i drugi, zjeżdżała się rodzina pani Pelagji, a rabunek trwał swoją drogą. Wieczorem w wigilję pogrzebu, wpadł do proboszcza zadyszany Tomasz, karbowy dworski.

— Co tam Tomaszu słychać?

— Koniec świata, jegomość; koniec świata, ale to gorsza, iż tam coś złego zamyślają.

— Kto? — spytał zatrwożony starowina.

— Ot widzi jegomość, ja to człek nieśmiały, kiedy zaczęli drapać i mnie szukać, ja klucze jegomość w kieszeń i schowałem się w sąsiek między snopki w stodole. Leżę sobie i myślę, a tu przed godzinką może wchodzą do młocarni ten Abramski z jakimś panem z Warszawy, co to tu bywał nie raz na świętach, jak on to się nazywa.... bodajcie.... coś jak zwierzę... ba, Kozowski. Abramski do niego: Karolku, ty napiszesz, dalibóg napiszesz, a pięć tysięcy damy. On na to: ależ Bój się Boga, to trudno udać starego charakter...

— Eh, co tam dla ciebie, toć ty nie raz jak podpisałeś go, to jakby on.

— Prawda, żę możebym i potrafił, ale jak się wyda!?

— Co się ma wydać, przerwał mu Abramski—Bóg w Niebie, ja i ty o tem wiemy. Znalazł się testament i basta, kto będzie zaprzeczał...

— A Dołowski z Ukrainy... ho, ho, to mądry lis, on tu lada dzień zleci, a to cięta sztuka.

— No to mu trzeba co zapisać, aby zatkać gębę.

— Mogę mu zapisać ze 20,000 złp. — odrzekł śmiejąc się Kozowski, albo to z mojéj kieszeni.

— No więc dobrze — weź papiery nieboszczyka, rozpatrz się w piśmie i wal testamencik. Krótko Karolku a węzłowato. —Ja ma się rozumieć, to jest moja żona, główna sukcessorka.

— A nie zmiarkują co? Hipolit...

— To głupiec choć brat mojéj żony, on i tak za życia najwięcéj drapał...

— No daléj.

— Daléj zapiszesz im po sześć tysięcy..... matce żony dożywocie.....

— No daléj.

— Daléj nie wiem... ale temu garbatemu djabłowi trzeba coś na odprawę, bo stryj go lubił, więc dla niepoznaki napisz mu ze 300 albo 600 złp.

— A służącym?

— Co służącym?... to wszystko złodzieje...

— A ja co?

— No mówiłem, pięć tysięcy...

— Gdzież one są?

— Gdzie? U mnie jak wezmę Zielonkę; słowo honoru na drugi dzień zapłacę.

Tu jakoś przestali gadać, ja wysunąłem pocichutku głowę, patrzę... stoją na przeciw siebie i myślą.

— Wiesz co Abramski, tyś mój przyjaciel, ale ja ci nie wierzę; ot pewniéj ja sobie sam zapiszę.

— Karolku to nie wypada...

— Co to niewypada, przyjaciel trudnił się jego interesami.

— Eh, lepiéj by bez tego.....

— Duszko moja, ja się ryzykuje niech będzie za co.....

Wyszli ze stodoły, a ja wprost do jegomości; choć Bogiem a prawdą nie wiele z tego rozumiem, tylko u niego wszyscy złodzieje: służący złodzieje, com mu ukradł? A oni co? — jegomość kochany jak drapią, to aż serce pęka. Nawet chomonta z koni poprzemieniali, deski biorą, siano biorą.....

Ksiądz słuchając to wszystko, dumał i dumał, a ja przyznam się również nie rozumiałam o co tym dwom panom chodziło. Nareszcie zerwał się starowina, nakrył głowę starym bronzowym kapeluszem, laskę w rękę, kraciastą chustkę z tabakierką w drugą i woła na mnie:

— Pójdźmy Wawrzuś — to chłystki z Warszawy, o mądrale, myślą że starych wywiodą w pole, ba, ba, testamentu im się zachciéwa... Tomaszu do domu i ani słówka nikomu.

Starowina pędził żywo do domu a trząsł głową, a trzepał chustką, grożąc tabakierką. Wpadliśmy do pokoju pani Pelagji, gdzie pan z Warszawy właśnie zabierał się do przeglądania papierów.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków odrzekła Pelagja, gdy wszyscy, a było kilkanaście osób familij powstali zdziwieni tak póżnem zjawieniem się proboszcza, który za życia nieboszczyka rzadko kiedy pokazywał się we dworze. — Proboszcz cały zirytowany, przystąpił wprost do Abramskiego i zapytał:

— Czy panie tego, znaleziono jaki tastament?

— A proboszczowi na co ta wiadomość?

— Musi być na co, skoro się pytam!

— Nie ma, księżę proboszczu — odrzekła pani Pelagja.

— Nie ma — dodał Abramski zuchwale, a choćby i był to nikomu nic do tego.

— Może i do tego — powtarza dość ostro starowina. A nie mahaj mi przed nosem ręką, boś winien znać uszanowanie mospanie dla starca, który i ciebie i twoją żonę na łono kościoła przyjmował i ochrzcił na katolika, a nie na bisurmana. Powoli mosanie, powoli.., zaraz się dowiesz co mi do tego. Otóż mówię aspanu, że i ja mam pretensją do sukcessji.

— A to zkąd? — zapytało naraz kilka głosów:

— Zkąd? — zkąd i pan Karol, prawda? — rzekł obracając się do czytającego papiéry Kozowskiego — i ja się trudniłem interesami nieboszczyka. Panie Abramski choć przez grzeczność i wdzięczność za chrzest Ś-ty niezapomnijcie o mnie, choć kilka tysięcy.....

Wszyscy się zdumieli — zdawało im się, że proboszcz bzika dostał; pan Karol tylko zakręcił się na krześle, a Abramski spuścił oczy...

— Co proboszczowi się stało? pyta ciekawie pani Pelagja.

— Nic mościa dobrodzijko, chciałem co utargować dla siebie póki czas, póki jeszcze nie ostygły ot w tamtéj izbie członki uczciwego człowieka, który żył dla was i dla was pracował. Ale darujcie nie mam czasu mospanie, tylko panie Karolu ostróżnie, trzeba dobrze literki obejrzeć.

— Bardzo proszę proboszcza do mnie swych kazań nie mierzyć — tu nie kościół! Niech proboszcz swoje niedorzeczne żarciki schowa dla innych — ja nie z téj parafji...

Wszyscy się rozśmieli, a stary jegomość rozgniewany tém, przystąpi nagle do Karola i machając mu palcem koło nosa rzecze: „Ty *szpindlu* mospanie, nie pisz testamentów, boś nie Rejent tylko pisarczyk, mospanie. Słyszałem i ktoś drugi słyszał w stodole wasze konszachty... tak mam świadka *szpindlu* i dostaniecie żelazne obrączki na ręce i pójdziecie tam gdzie to wiesz — gdzie pieprz rośnie mospanie!"— I odwróciwszy się, cały w ogniu zaraz wyszedł z pokoju.

Odbył się pogrzeb z wystawnością; sukcessorowie wystąpili suto, — było księży bez liku, cała drobna szlachta z okolicy, płaczu, żalów serdecznych dosyć, bo rzeczywiście stryj był całéj téj gromadki opiekunem i dobrodziejem.

Na drugi dzień, gdym za poradą proboszcza poszedł do dworu aby zabrać swoje manatki i pocałował w rękę na pożegnanie panią Pelagję, dziękując ze łzami za te kilka lat przytułku, boć zawsze za jéj wstawieniem się do stryja byłem przyjęty, dobra ta kobiéta nie pozwoliła mi wynosić się z domu.

— Cóż to nie znajdzie się tu już dla ciebie łyżka strawy i kąta na przespanie, co?—Zostań Wawrzusiu, nie słuchaj zięcia, on tu i nie rządzi. Weź się do gospodarstwa jak dawniéj, boć i tak straszny nieład, a potém zobaczymy co z tobą zrobić. Ani myśl o tém żebym cię puściła.

Pocałowała mię dwakroć, oddała klucze i zostałem.

Coś w tydzień potém siedzieliśmy po obiedzie w pokoju stryja przeglądając papiéry, bo już Podsędek na opieczętowanie pozostałosci zjechał, gdy zjawił się na podwórzu idący pieszo mały, już siwy człowieczek, z ogromną księgą pod pachą. Czapkę trzymał w ręku, a kolorową chustką osłaniał połowę twarzy jak człowiek cierpiący na zęby. W letnim surduciku płowym, z zawiniętemi u dołu spodenkami, szedł jakby ze spaceru.

Patrzno mama — zawołała jedna z wnuczek pani Pelagji już dorosła panienka, to zdaje mi się Łasicki.

— Prawda on —powtórzyli inni, gdy tymczasem mały człowiek wszedł do pokoju, a nieprzywitawszy nikogo, usiadł na krześle i księgę obok położył.

— Zła droga panie Podsędku — od trzech dni idę pieszo z Krasnegostawu, bo te nasze furmanki wloką się nieznośnie, żona z dziećmi to chyba na jutro ściągnie....

— Ale któż pan jesteś? — pyta Podsędek, z podziwieniem patrząc na człowieka, który 40 mil drogi zrobił piechotą.

— Et zła pamięć u Podsędka. Łasicki dawny rewizor tabaczny, emeryt.

— Bodajże cię — zawołał Podsędek, boć razem byliśmy w Sokołowie, ja Pisarzem Sądu, pan Rewizorem. A prawda toć i pańska żona sukcessorka.

— Chyba sukcessorka, przecie siostrzenica nieboszczyka kassjera. Nie dawał mi za życia, to może co zostawił, ale co tam tego będzie. Słyszałem i wiem że tu przez trzy dni wozili, mam to spisane tu w tej książce, w któréj wszystko i wszędzie piszę co tylko godne uwagi. Za pozwoleniem proszę o pióro.

Podsędek dał mu pióro, on roztworzył księgę na stole, przysunął krzesło i otarłszy okulary kałkiem skórki zamszowéj, pisał dyktując sobie głośno:

„Nr. 12488. Dnia 19 Kwietnia 1847 roku w Ziecionce. W dalszym ciągu spostrzeżeń moich, zobaczyłem w lesie Bagno zwanym, ściętych świeżo sosen starodrzewiu sztuk trzynaście Nr. 13, pytałem gajowego Kacpra kto je ściął, — on rzekł: Wójt z Zalesia Trzymalski Ignacy. Ja mówię, kto pozwolił? — on mówi pan Abramski...

— Nie prawda! — krzyknie ten ostatni; gdy wszyscy dotąd osłupiali patrzyli zdziwieni na Łasickiego.

— Nie prawda? — mówisz panie Abramski, więc któż mu pozwolił?

— Albo ja wiem...

— Nie wiesz panie? — pytał podnosząc na czoło okulary a zatem może kto z państwa mu pozwolił?

Nikt nie odpowiedział.

— A zatem piszmy daléj: „Skoro obecny temu sam pan Abramski zaprzecza gdy to piszę, więc z naturalnego pojęcia rzeczy, owe starodawne sosny Wójt wyżéj powołany z imienia i nazwiska samowolnie zabrał vel ukradł.”

Dziękuję panu za pióro — dodał, pismo zasypał i księgę zamknął. Nieoszacowana to księga ma już 12488 numerów różnych rzeczy. Ja co tylko uznam godnego gdzie, czy na świecie czy w gazecie czy w książce jakiéj — piszę panie dobrodzieju. Ot naprzykład smarowanie na buty aby nieprzemokły jest pod N-em 7251, albo opis gondoli pod Nr. 246, a co bardzo ciekawe to życie mrówek *vel* termitów pod Nr. 1000, to pamiętam dobrze. Jak się panie Sędzio ułatwisz, przeczytam ci kilka N-ów to zabawne np. moja podróż pieszo na Ukrainę do brata żony; sławny jest tam opis zepsutych jajek, które mi podała małżonka brata Dołowskiego na powitanie. Mnie to tak witają, naprzykład teraz ciotunia droga współsukcessorka także, czy zapytała mię co bym zjadł?

— Cóż pan Feliks pozwoli?—Przepraszam, tak się pan Feliks niespodzianie zjawił...

— Zapewne niespodzianie, ja wierzę... pewno i zawcześnie, co panie Abramski? Oporządziliście już wszystko dobrze, co? A ciotunia nic nie wiesz o tém choć ja aż w Krasnymstawie się dowiedziałem! Kostusia ci opowie, czy dobre chomonta co? czy dużo miodu w ulach? Jeszcze pszczółki śpią niebożątka nie mogą znosić nowego, ale naznoszą po Matce Boskiéj, naznoszą...

— E dałbyś pokój panie Feliksie z tym ostrym językiem, zjesz pieczeni co?

— Nie ciociu dobrodziejko — uraczysz mię jak dasz kwaśnego mléka z kartoflami, tylko aby słoninki dosyć. — Musiało co zostać; nie żałuj ciotka, już śp. stryj Józef nie żyje; on to żałował dawniéj jak tu bywałem, prawda ciotko to był skąpiec? A i ryneczki nie było, ale ja kupiłem żelazną wybielaną — ot masz ciotka: I rzeczywiście wydobył z kieszeni surduta nowy żelazny tygielek, który podał pani Pelagji. Ot niech będzie tak dotąd słoninki, ja sobie sam poleję.

Nazajutrz rzeczywiście przyjechała jednokonną furmanką pani Łasicka, z dwoma już dorosłemi córkami i synem wyrostkiem. I od téj chwili począł się płacz w domu. Była to wysoka, koścista, szczupła osoba, wiecznie płacząca; gdy jéj łzy nie płynęły a mówiła coś swobodnie, głos jéj już był tak lamentujący jak płacz, a ton mowy i sposób wyrażania się czysto psalmowy.

Po krótkich a zimnych przywitaniach z ciotką, była bowiem po rodzonéj siostrze pani Pelagji, ulokowano ją w oficynie i odtąd siadło nas do stołu siedmnaście osób nie licząc dzieci. Ze dwa dni przyjmowano wszystkich jako gości, lecz wkrótce powstały swary i każda partja została na swym garnuszku. Państwo Łasiccy byli bez grosza, więc trzeba ciągnąć z sukcessji: uradzono młócić zboże. Łasicki z swoją księgą osiadł w stodole, Abramski także, ja niby zarządzający z rozkazu pani Pelagji, lecz doprawdy po co, nie wiem. Tomasz ekonom jako dozorca, a pani Łasicka z dwoma córkami z nudów — bo już stosunki przyjaźni zerwano.

Rozpoczęła się dysputa, jak się dzielić:

— Ja — mówi Łasicki po szlachecku: snopek tobie, snopek mnie.

— Zapozwoleniem — przerywa Abramski, najprzód matce dwa snopki, a panu jeden, bo matka siostra kassjera, a pani Łasicka córka po drugiéj siostrze.

— Doprawdy; a Dołowski brat mojéj żony? choć nieobecny toć mu się należy i ja tego pilnuję. Tomaszu! — krzyknie do ekonoma rzucać snopek na prawo, snopek na lewo.

— Przepraszam dwa na prawo jeden na lewo, to będzie już dla was dwojga, takie jest prawo.

— Mój Boże — wtrąca ze łzami w oczach Łasicka, biédnym zawsze mniéj, ach jak my biédni, jak my nieszczęśliwi, jak ten wróbel na pustym dachu.

— Pleciesz imość, wróbel bogatszy od nas, bo się nie dzieli z nikim.

— Toć lepiéj wymłóconem zbożem się podzielić, wtrąci Tomasz ekonom.

— Ja nie chcę—snop snopkowi nierówny, a zresz-:ja swoje każe lepiéj wymłócić.

Stanęło na tém, lecz znów parobków nie można było ustawić proporcjonalnie do schedy: było ich pięciu, ten chciał czterech, ten dwóch — znów sprzeczki i rady, zgodzono się wreszcie żeby tu młóciło dwóch cepami, a tu dwóch, piąty zaś kolejno przechodził od jednéj partji do drugiéj; skutkiem czego zaczęto młócić od południa, a że dzień był krótki, więc przez cały dzień wytłukli ze czterdzieści snopków.

Daléj chodziło o sprzedaż okowity na garnce, po którą zgłaszało się dość okolicznych mieszkańców. Ten urząd sprawowała dotąd córka Abramskiego. Łasicki przeto w towarzystwie żony, dwóch córek i syna, zrobił napad i odebrano jéj klucz gwałtem. Nastąpiła kłótnia: Abramski popchnął Łasickiego, ten znów córce jego podbił oko machając księgą, ale plac boju to jest klucz, pozostał przy nim.

W wieczór obie strony wystósowały skargi do Sądu o pobicie, a nazajutrz dwaj konni posłańcy powiezli je do miasta okręgowego. W dodatku wystąpił jeszcze Wójt z pretensją do Łasickiego o potwarz, jakoby on posądzony był o kradzież sosen z lasu, które właśnie miał mieć za życia kassjera darowane, a teraz je zabrał jak swoje.

— Proszę o assygnacją? — mówi Łasicki.

— Kassjer nie dał.

— Więc ukradzione...

— Pan się miarkuj — krzyknie opasły wójt, to potwarz.

— To prawda.

— Odwołasz pan to czy nie, inaczéj skarżę do Sądu.

— Daruj Wójcie wszystko mogę, aleć prawdy odwołać nie wolno.

I znów poszła skarga do Sądu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO WITA W PRADZE CZESKIÉJ.

Stolica królestwa Czeskiego liczy obecnie sześćdziesiąt kościołów. Najznakomitszym jednak z nich jest kościół katedralny S-go Wita, zbudowany na najwyższém wzgórzu tego miasta, stanowiącém oddzielną jego dzielnicę, zwaną Hradczany. Kościół ten tak ze względu swego położenia jak i swéj przeszłości i pomników dziejowych, wielkie ma podobieństwo do kościoła krakowskiego na Wawelu; zawiéra bowiem w sobie liczne groby książąt i królów Czeskich, biskupów i arcybisków Pragskich, oraz innych sławnych i zasłużonych mężów narodu Czeskiego a nadto skarbiec, w którym przechowują się godła i korona królów tego narodu.

Pierwszym założycielem tego kościoła a raczéj zbudowanego w tém miejscu pod wezwaniem S-go Wita, był książę Czeski Wacław, zwany Świętym, a żyjący na początku X-go stulecia. Kościół ten istniał blisko czterysta lat, trzykrotnie po pogorzeli odbudowywany; czwarty raz jednak tak zgorzał, że ówczesny król czeski a zarazem cesarz Niemiecki Karol IV-ty, postanowił był sobie wystawić z gruntu nowy. Monarcha ten był wielkim znawcą i opiekunem sztuk pięknych, a mianowicie budownictwa czyli architektury. Zamierzył tedy wybudować taki kościół, jakiego dotąd nie było jeszcze w Czechach i co najmniéj wyrównywający innym europejskim. W tym celu polecił wygotować plany najsławniejszemu budowniczemu, Maciejowi z Arrasu czyli Arlerowi, rodem Francuzowi, bawiącemu od niejakiego czasu na dworze Pragskim. Kamień węgielny założony został w r. 1344. Budowa gorliwie była prowadzona całe 24 lata do śmierci króla Karola, a nawet jeszcze lat ośm przez jego syna Wacława IV-go.

Następne dwieście lat ciągłych niemal wojen były przyczyną, że kościół rzeczony pozostał niedokończony, a nawet kilkakrotnie uszkodzony i wewnątrz zniszczony. Wprawdzie król Władysław II Jagielończyk, panujący od r. 1471 do 1516, usiłował go dokończyć, lecz ograniczyć się musiał tylko na jednéj lewéj wieży, pojęcia bowiem ludzi, ożywiające takie kosztowne przedsięwzięcia za czasów Karola W. zmieniły się na przekonanie, że Bóg nie wymaga od nas wspaniałych świątyń, ale czynów i zakładów świadczących o miłości bliźniego. Nareszcie dopiéro w końcu XVII-go stulecia wzięto się do ukończenia tego kościoła, a stało się to za przyczyną obiegającéj przepowiedni, że ten monarcha opanuje kościół S-téj Zofji w Carogrodzie czyli Konstantynopolu i zjednoczy państwo Wschodnie z Zachodniém, który dokończy kościół S-go Wita w Pradze podług pierwotnego planu. Cesarz Leopold I poszedł za głosem tego proroctwa i wiarą swego wieku i przy pomocy biskupa Mateusza Ferdynanta Zoubka, rozpoczął budowę 1673 r., lecz w owym czasie nie pojmowano piękności stylu gotyckiego, w jakim budowla ta była rozpoczętą. Różne przeróbki i dodatki, jak np. okrągła miedziana bania na wieży i trzy małe wieżyczki baniaste, skaziły wspaniałość pierwotnego planu, chociaż przepowiednia mądra w tym razie, kładła to za warunek. Kościół jako tako został ukończony. W roku jednak 1757 w czasie oblężenia i dwudziestodwudniowego bombardowania Pragi przez Prusaków, uległ on znowu zniszczeniu tak zewnątrz jak wewnątrz, nie wyłączając nawet grobów królewskich i innych.

Nowe całkowicie odnowienie tego kościoła miało miejsce w wieku zeszłym, za staraniem głównie kanonika Pieszyny i przy pomocy składek całego narodu.

Kościół ten w większéj połowie niedobudowany, liczy długości 188, a szerokości 159 stóp wiedeńskich; wysokość środkowéj nawy wynosi wewnątrz 102 stopy nad podłogę, zewnątrz zaś ze strzechą krytą po większéj części miedzią 159 stóp, wysokość wieży 318 stóp. Wszystkich kaplic jest 13 z 25

ołtarzami, a między temi Ś-go Wacława z jego grobem; książąt Lobkowiczów i Martyniczów hrabiów Kińskich; cesarską z ołtarzem Ś. Ludmiły; Morawska z ołtarzem SS. Cyryla i Metodego oraz Ś. Wojciecha z jego grobem [1]), oraz jego bratą Ś. Badima czyli Gaudentego i innych. Kaplica Ś. Jana z Nepomuk z jego grobem, odznacza się bogactwem ścian, obłożonych srebrem i posągami z tegoż kruszcu, oraz 27 takiemiż lampami a jedną złotą, wszystkiemi bardzo misternéj roboty. Wszystkiego srebra znajdującego się w téj kaplicy, liczą 36 centnarów. Jest tu także grób Ś. Wita i wiele innych. Grób królewski znajduje się w samym środku kościoła, a nadgrobek z marmuru kararyjskiego artystycznie wykonany, wystawiony był w r. 1589. Spoczywa w nim czternaście osób rodu królewskiego, od czasów Karola IV; poprzednicy bowiem tego monarchy spoczywają w innych grobach bocznych. Przemyśl Otokar I i II, Brzetisław I i II, Borzywoja II, Spitihniew i t. d., z oddzielnemi nadgrobkami. Mnóstwo tu znajduje się znakomitych obrazów i malowideł, sprzętów artystycznego wyrobu, oraz innych drogocennych pamiątek, których wyliczenie za wiele zajęłoby miejsca.

Kościół Pragski Ś. Wita jakkolwiek nieukończony i w części skażony niewłaściwemi doróbkami, jest jednak zawsze wzorem stylu gotyckiego. Wszystkie jego części odznaczają się najdokładniejszą proporcją i lekkością, niéma tu nic nieprawidłowego, ciężkiego, grubego, jakto spostrzegać się daje w wielu niemieckich kościołach gotyckich z tegoż samego wieku. Wnętrze atoli nie zachowało się w takiéj czystości pierwotnego planu, uległo ono większemu skażeniu, skutkiem przeinaczeń w zeszłém stuleciu—owym wieku zamiłowania w kędzierzawych i pudrowanych perukach i harcapach. To też wnętrze tego kościoła nie robi takiego wrażenia, jakiego oczekuje każdy piérwszy raz doń wchodzący, po obejrzeniu go zewnątrz.

Ad. N. Nakęski.

OBMÓWCY.

Znacie ich bardzo dobrze—bo na ich przyjęcie
Najpiękniejsze salony stawają otworem,
Oni błyszczą i świecą dowcipem, ubiorem,
Mają kwiaty u czoła—brylantowe spięcie...
Ostrożnie! bo te piękne niewiasty i męże
To w łusce złocistéj węże!...

Taki urok w ich głowie—a mowa tak słodka,
Ujmująca—łechcąca—kiedy się ich spotka,
Że człowiek aż lgnie do nich—jak na miody mucha...
Pali twarz ich kadzidło—ale się to słucha,
Bo kadzidło pachnące. Zaledwieć za drzwiami,
Rzucili kadzielnicę, a gwiżdżą za nami!

Oni mówią (nim wyjdziesz) żeś perłą i kwiatem,
Że jak gwiazda salonów świecisz nad ich światem...
Ale skoroś już wyszła—każdy kąsać spieszy!
O nie słuchaj! uciekaj czém prędzéj, bądź głucha,
Ten co mnóstwem przyjaciół na świecie się cieszy,
Snać podedrzwiami nie słucha!

O wy! o słodkich oczach fryzowane żmije!
Gdy która swą ofiarę porwie—jak się wije,
Jak zręcznie dręczy, dusi—a zdradną zaprawę
Jak słodką podać umie—jak zrobić zasadzkę,
Jak umie niszczyć sławę i szczątki jéj krwawe
Na śliską rzucić posadzkę!

— Wy zazdrośni genjusze—wy co dla zabawy
Nożyczkami pragniecie podcinać mu skrzydeł,
Wy sie targnąć śmiejecie na ich cnót podstawy,
Im więcéj ogród obcy ma dla was mamideł,
Im więcéj tam owoców słodkich się rumieni,
Tém więcéj rzucacie kamieni!

Kiedy słońce w swéj chwale z rana się podnosi,
To wasz głos wraz z skowronkiem téj chwały nie głosi,
Radzibyliście zgasić—i zazdrość wam radzi
Dmuchnąć na jego promień—bo wam słońce wadzi,
I słusznie—świecić mogą bez słońca pomocy
Świece, te słońca nocy!

Wszystko co nad poziom—świeci się i wznosi,
Gwiazda, źródła, kolebki wyszukać spieszycie...
Jeśli u źródła skromne bohatéra życie;
Zamiast coby się cieszyć fenomenem takiém,
Zawiść tego motyla—nie cierpi, nie znosi
I woła—że był robakiem!

Ty dumna zazdrośnico, nie znosisz widoku
Piękniejszych od cię kobiét—solą ci są w oku!
Liczysz lata z dodatkiem—a palcem ognistym
Czoła ich znaczysz cyfrą pod wieńcem kwiecistym,
Zdarza ci się nie dojrzeć—(to byłaby zdrada!)
Słomki dźbła w piękném oku twojego sąsiada,
Ale za to dopatrzy twój wzrok przenikliwy,
A usta twe wygłoszą sąsiadki włos siwy!
Twój dowcip jest wesoły, pusty, zwinny, żywy,
Gdy rani to bez żółci—bo nie jest złośliwy,
Chce dowieść swéj zręczności, karmi się pochwałą,
Strzela, rani—by złotą popisać się strzałą!
Jeśli w sercu mniéj czysty płomień się zapali,
Już o tém głoszą wszędzie usteczka z korali,
Gdzie ogień, dym być musi—a więc od komina
Do komina się kłębi i kopci nowina!
— Dowcip drwi, gani bliźnich i bliźniego gubi,
A stroi się w brylanty i niémi połyska...
Salon jego areną—tam za sławą goni,
A serce jak kopciuszek od światowych stroni,
I w domu strzeże ogniska!

O wy! na wady bliźnich tak srodze zawzięci,
Jesteścież doskonali? kto wie, może święci?!
A dusza wasza ogniem tak niebieskim płonie,
Że nigdy szatan w waszém nie zagościł łonie?
A serce tak niewinne od dna aż po brzegi,
Jak w Alpach stopą żadną nie dotknięte śniegi?..
— Nie! Wyście jako inni kamieniem obrazy
Słabi jako my—ale zdradliwsi sto razy!
W duszy waszéj plam dużo... lecz umiécie zdradnie
Wyśmiewać z grzechów cudzych—i obmówca umie
Zawołać: że okradzion—i schować się w błonie
Jak złodziéj gdy sam ukradnie!

. . . .

Pobłażaj—a przyjaciel znajdzie się w potrzebie,
Nawet *miłość bliźniego* poda ci swe dłonie,
Wprowadź ją—daj jéj poznać twych braci i siebie,
Bo to jest cudzoziemka w dzisiejszym salonie!

Gabryella z Ginterów Puzynina.

---

[1]) Zwłoki Ś. Wojciecha przywiezione tu zostały z Gniezna przez Bretisława I w r. 1539, a jednak miasto Gniezno utrzymuje, że posiada także zwłoki tego Świętego. Musi więc być prawda, że Bretisławowi wydano jakieś inne.

R Y Ś.

— „Działo się to, mówił pan X., wielki miłośnik myślistwa, w lasach Poleskich r. 185*. Wziąwszy rusznicę dwururkę do ręki i torbę myśliwską zwiesiwszy przez plecy, pięknego poranku wrześniowego puściłem się mało uczęszczaną drogą do jednego z tych olbrzymich lasów, które bodaj tylko na Polesiu siekiera przemysłowców jeszcze oszczędziła. Długo błądziłem szukając grubéj zwierzyny, lecz las jakoś był pusty, cichy, milczący, jakby wszyscy jego mieszkańcy do innych gdzieś puszcz wywędrowali. Znużony wreszcie kilkogodzinném chodzeniem, usiadłem na pięknym zielonym mchu, a oparłszy się plecami o drzewo, z odwiedzionym kurkiem w ręku czekałem zdecydowany zabić pierwsze lepsze stworzenie, jakie się oczom mym nawinie.

Mały krzak leszczyny znajdował się o parę kroków przedemną, nie zasłaniając mi jednak widoku, owszem, dozwalając po przez swoje gałęzie i liście, widzieć co się daléj dzieje. Po za nim sączył się wąziuchny strumyk, raczéj do strugi przypadkowo rozlanéj wody, niż do strumienia podobny. Stuletnie sosny i dęby rosły na przeciwnym jego brzegu, tworząc niby zielone sklepienie i nad małą łączką i nad pomienionym strumieniem.

Po kwadransie oczekiwania, usłyszałem lekki szelest. Ogromny szarak wysunął się z gąszczy, zwietrzył powietrze wprawo i wlewo, a potém w kilku podskokach zbliżył się do kupki szczawiku leśnego i łapczywie począł go zajadać.

— Przecież, choć jeden! pomyślałem w duchu, podnosząc rusznicę i przykładając ją do oka. Lecz wraz z kulą, która rozstrzaskała głowę biednego zwierzęcia, jakieś zwierzę, wielkości psa domowego a barwy płowo-rudéj, skoczyło z szybkością błyskawicy z drzewa na zająca, lecz strwożone strzałem stanęło zrazu jak wryte, poczém nagle się cofnęło i wydając głos piskliwy, jednym susem wskoczyło na rosochaty dąb i znikło w jego konarach.

Odwieść kurek drugiéj lufy, przeskoczyć strumień i stanąć u stóp drzewa, było dziełem jednéj chwili.

Na jednéj z wyższych gałęzi siedziało zwierzę długie na trzy stopy, wysokie przynajmniéj na dwie, kształtem wielce do kota zbliżone, sierć jego była płowo ruda, z nieregularnemi ciemniejszemi plamami tu i owdzie rozrzuconemi. Spód ciała był jaśniejszy, a koniec krótkiego ogona czarny. Długie jego uszy były zakończone czarnemi kępkami włosów, paszczę miał roztwartą, a w niéj ukazywały się dwa rzędy ostrych zębów, pomiędzy któremi odróżniały się dwa zakrzywione białe kły. Po obu stronach nosa i nad oczyma, widne były długie białe wąsy. Ale oczy, oczy—nigdy ich nie zapomnę! Z dużéj okrągłéj źrenicy tryskała taka bystrość, taki ogień, taka złość, że ręka mi zadrżała gdym targnął za cyngiel i strzelił. Nie pojmuję jakim sposobem udało się mi go trafić.

Był to ryś, zwany dla bystrości oczu, ostrowidzem.

Kula wpadła mu w ciało z prawéj strony szyi, a wyszła przez lewą łopatkę. Ryś zachwiał się, podskoczył i przewalając się z gałęzi na gałąź, upadł na ziemię. Uszczęśliwiony do najwyższego stopnia z takiéj zdobyczy, któraby i najdoskonalszego myśliwca w dobry humor wprowadziła, nachyliłem się nad zwierzęciem, jak się mi zdawało martwém, gdy ryś zerwał sie nagle na nogi i uchwycił zębami za połę surduta. Nie najprzyjemniejby zapewnie ta przygoda się skończyła, gdybym tyle przynajmniéj nie miał siły i przytomności, że uderzeniem kolby w łeb, powaliłem ostatecznie szkodnika na ziemię."

— Ależ to dziwna, zauważałem, że tak bystre na pozór zwierzę, téj nie miało zmyślności, aby gdzie indziéj szukać ocalenia, nie zaś na drzewie i to jeszcze tak blisko myśliwca.

— Ha! taka to już natura rysiów. Są one podobne do tych ludzi, co to więcéj obiecują niż dają.

— Musieliście już nieraz z niémi się spotkać? zapytałem.

— Owszem, bardzo rzadko. Kiedyś puszcze Poleskie obfitowały w rysie jak i wszelkiego rodzaju zwierzynę. Dziś rzadko się kiedy z niémi spotkać można. Powiadają, że w Karpatach i wielkich lasach północnéj Europy, znaleść ich jeszcze można, zresztą wszędy wyginęły. I nie niewielka szkoda, dodał po chwili, są to bowiem wielkie niszczyciele zwierzyny, a mianowicie młodych sarniąt i jelonków, na które czatują w takich oto jak to miejscach. Ujrzawszy zdobycz, zeskakują z drzewa na kark większym nawet od siebie zwierzętom, przegryzają im tętnice szyjne i tym sposobem zabijają zwierzę. W braku lepszego obłowu, napadają rade na jarząbki, głuszce i inne ptastwo. Jedyna korzyść, jaką człowiek z nich odnieść może, jest ciepłe lubo niezbyt ozdobne futro.

— Słyszałem, że na Polesiu są jeszcze tacy strzelcy co wierzą, że rysie tak bystry mają wzrok, iż po przez ściany nawet przejrzeć mogą.

— Ba! nie tylko na Polesiu ten przesąd panował. Był on niegdyś powszechny. Ludzie tak skorzy są do nadprzyrodności, że do lada niezwykłego zjawiska radzi ją przyczepiają. Dziś jednak nikt ze świateljszych ludzi w takie baśnie nie wierzy.

Mścisław Kamiński.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu Wł.* Droga do majątku wiedzie przez bramę, na któréj wielkiemi głoskami napisano: *jeśli masz trzy grosze w kieszeni, wydaj tylko dwa.*

— *Panu Piotrowi w Oszmiańskim powiecie.* Wynalazek pisma gubi się w pomroce wieków. Wszystkie starożytne ludy, jak Hebrajczycy, Egipcjanie i t. d. przypisują mu początek nadprzyrodzony, boski. Nie odrazu jednak ludzie zaczęli wyrażać pojęcia i myśli swoje za pomocą takiego pisma, jakie dziś jest znane. Jedne ludy używały do tego rozmaicie powiązanych węzłów, inne dziwacznych karbów na drzewie, to pasów różnobarwnych lub kwiatów, inne wreszcie wymyśliły pismo obrazowe, gdzie za pomocą rysunku, usiłowano wyobrazić rozmaite pojęcia. Z tego wreszcie utworzyło się pismo tak zwane zgłoskowe, w którém każdy wyraz z jednéj się składa syllaby; tak piszą Chińczycy. Podobne do obrazowego pisma, tylko niezmiernie zagmatwane, są *hieroglify*, używane dawniéj w Egipcie. Wszystkie te jednak rodzaje pisma były bardzo niedoskonałe: dopiéro wynalazek alfabetu, całkiem odrębną nadał postać pismu. Domyślają się, że wynalazca był Fenicjaninem. Ten alfabet uległszy najrozmaitszym modyfikacjom, przez wszystkie ucywilizowane ludy został przyjętym.

Oprócz tego, niektóre narody azjatyckie używały pisma *klinowego*, gdzie kształt zwyczajnego klina w różnych kombinacjach odrysowany, różne też wyrażał litery; oraz *runicznego*, które było używane przez starożytnych Słowian i Skandynawów. Wreszcie wspomnić tu musimy o pismach tajemniczych i o piśmie stenograficzném, które niedawno zaczęło się za granicą upowszechniać.

ROZMAITOŚCI.

W nowy Rok podsłuchane.

(Dokończenie, patrz N-er 2.)

(*Na wieczorze.*)

Pani domu. Panie Astolfie, czy pan gra *a vista*.

Pan Astolf. Jako tako, pani dobrodziejko...

Pani domu. To może sprobujemy na cztery ręce...

Pan Astolf. Na cztery ręce... to jest w cztery osoby... jak się zwykle gra...

Pani domu. W cztery osoby... więc pan chciałby *kwartet* urządzić?..

Pan Astolf. Oh! pani, jeżeli idzie o *écarté*, to przecież gra na dwie osoby.

Pani domu. Przepraszam, ale o czem pan mówi, bo ja zaczęłam o muzyce...

Pan Astolf. Ach!.. ja sądziłem, że o kartach!..

(*Monolog w samotności.*)

Froter posadzek i... półmisków.

Na ludzi i na losy wyrzekałem łzawie,
Bom nie mógł iść na wieczór mając frak w zastawie,
Ignacy mnie przekonał, że nie miałem racji...
Miał frak, był na wieczorze... nie było kolacji!

Wołody Skiba.

— *Historja mielenia zboża* najlepiéj wskazuje postęp przemysłu ludzkiego. W najgłębszéj starożytności używano wielkich moździerzy do rozgniatania go. Za czasów Mojżesza (1705—1585 r. przed narodzeniem Chrystusa), a nawet za czasów Homera (r. 900 przed naszą erą), znano tylko młyny ręczne, zapewne prostszéj jeszcze budowy od dzisiejszych gdzieniegdzie jeszcze używanych *żarn*. Podanie mówi, że na dworze Penelopy żony Ulissesa, Króla Itaki, którego czyny i podróże opiewał Homer, było 10 niewolnic zajętych wyłącznie mieleniem zboża. Ponieważ dwór ów liczył najwyżéj 300 osób, w onym zatém czasie jeden człowiek mógł tylko tyle umielić dzienie ile trzydziestu ludzi zjeść mogło. Po młynach ręcznych nastąpiły młyny poruszane *siłą koni*. Za czasów Cycerona (zabitego w r. 43 przed nar. Chr.) pojawiają się już młyny *wodne*. Młyny urządzone na statkach, wynaleziono o ile się zdaje za czasów Justynjana (panował od 527 do 565 r.) Pierwszym który ich używał był podobno sławny wódz tego monarchy Belizarjusz, o którego sławie i nieszczęściach pięknie chociaż fałszywe tradycja przechowała nam powieści. Użycie *wiatraków* nastało w dziewiątym wieku, młyny zaś holenderskie znane są dopiéro od środka szesnastego stulecia. Nasz wiek urządzeniem młynów *parowych* wyprzedził znakomicie wszystkie wieki poprzednie. Spoglądając na te obszerne gmachy, w których potężne maszyny z niesłychaną szybkością i dokładnością zamieniają zboża na najdelikatniejszą mąkę, przenosząc oko na skromny moździerz, który pierwotnie działalność tych wielkich zakładów zastępować musiał, myśl ludzka przebiegać może z dumą dzieje swoich ciekawych w dziedzinie materjalnéj zdobyczy.

— *Pocieszające nadzieje.* Od początku naszéj ery, ludzie zaczęli filozofować na temat tak przyszłego końca świata, jak również jego pochodzenia. Ośm lat temu, obawy blizkiego końca świata na samym stałym lądzie były tak wielkie, że wielu emigrowało do Ameryki, aby przynajmniéj nie zostać zgniecionemi przez kometę, któren zagrażał swoim uderzeniem, szczególniéj Europie i jéj mieszkańcom. Według popularnéj astronomij Arago, właśnie obecnie powinien okazać się kometa, który zbliżywszy się do ziemi, zabierze ją jako towarzysza podróży i pociągnie w swym gwałtawnym biegu przez niemające końca przestrzenie to do słońca, to w okolice oddalone na statysięcy mil od słońca, tam gdzie wszystko drętwieje od wielkiego mrozu. Bieda naówczas będzie biednym ludziom, jeżeli oni wreszcie nic nauczą się wytrzymywać takiego gorąca, w którem topnieją metale a następnie znów zamieniają się w stałe. Szczęście dla ludzkości, z groźnych następstw jakie są przepowiadane o kometach, dotychczas żadne się nie sprawdziło.

— *Biblja.* Anglja była pierwszym w świecie krajem, który wpadł na myśl szerzenia słowa Bożego w wszystkich językach ucywilizowanych narodów, a nawet w narzeczach ludów dzikich południowéj Afryki. Jest tam prywatne towarzystwo Biblijne, które z funduszów swoich i ze składek zbieranych, drukuje Biblję miljonami corocznie, rozdawając je po większéj części bezpłatnie, a w małéj części tylko za szczupłem wynagrodzeniem, nie dochodzącém nawet kosztów oprawy. Jak wielki jest zakres działania tych towarzystw, łatwo pojąć jeżeli wspomnimy, iż Towarzystwo to założone w Londynie przez Wilberforce'a w r. 1804, w ciągu 62 letniego istnienia swego, puściło w obieg 50 miljonów egzemplarzy biblij w 200 różnych językach. Chwalebna ta manja Anglików upowszechnienia Biblij, wystawia ich nieraz na szyderstwo innych narodów Europejskich, które ile razy mają do Anglji jakąś urazę, przedstawiają Anglika jako ofiarującego ludom dzikim cywilizację, podając im jedną ręką Biblję, a drugą sztuczkę kartonu. Za przykładem Anglji postępuje Hollandja i Niemcy, gdzie również zakładają towarzystwa taniego wydawnictwa Biblij; w Niemczech nawet żydzi osobne na ten przedmiot urządzili stowarzyszenie. W zagranicznych znaczniejszych hotelach, w każdym numerze znajduje się Biblja dla przejeżdżających, a niektórzy właściciele hotelów chlubią się z tego, kiedy podróżni wyjeżdżając z zakładu, potajemnie Biblję z sobą zabierają.

Rozpowszechnienie Biblji, niezaprzeczenie jest główną dźwignią do oświaty i umoralnienia massy społeczeństw, któréj trzeba podać pokarm duchowy w dozach niezbyt wielkich i w smacznym opłatku obwinięty; czysto naukowe rozprawy odstręczają wielu od czytania, powieści łączące pożytek z zabawą bardzo rzadko się zjawiają. Biblja przeciwnie, ma nietylko pożytek wysokiéj moralności, ale bawi lepiéj niż nie jeden romans. Dla tych to powodów, Anglicy tyle łożą na wydawnictwo Biblji.

Kraj nasz na nieszczęście, należy do jednego z tych, w którym słowo Boże stosunkowo do ludności bardzo mało upowszechnioném zostało. Wszakże w ostatnich czasach nie brakło na usiłowaniach podjętych w tym celu. Możemy się pochlubić posiadaniem dzieła Biblijnego należącego do rzadkich zjawisk w krajach najbardziéj ucywilizowanych. Mówimy tu o Biblji Łacińsko-Polskiéj, wydanéj nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie (1861—65), zalecającéj się dwoma wybornemi Kommentarzami t. j. X. Wójka, Hieronimem polskim nazywanego i Menachiusza. Dzieło to 6-tomowe, stosunkowo do swéj obszerności (arkuszy 210), zaleca się tanością ceny, bo tylko rs. 12, i żal przychodzi wspomnieć, iż z dziełem tém tak rzadko się spotykamy w domach prywatnych, jak gdyby ono było przeznaczonem dla mieszkańców Księżyca. Wszędzie widzimy przepyszne albumy, obrazy, stereoskopy, nietylko nie potrzebne ale nawet niekiedy moralnie szkodliwe—a dzieło Boga, dzieje Proroków i Apostołów, gnije gdzieś na półkach księgarskich. Zdaje się jednak iż przeznaczoném było, aby słowo Boże przed którem w salonach uszy sobie zatykają, przeniknęło do skromnych siedzib średniéj i roboczéj klassy, by tylko od maluczkich jak wszędzie tak i u nas światło wychodziło. Od kilku miesięcy bowiem otwartym został w Warszawie

Zakład Biblijny, w którym po cenach najprzystępniejszych jakie w handlu księgarskim wyjątkowo tylko istnieją, sprzedają się Biblje w 28 językach, z których najwięcéj się rozchodzi hebrajskich między publicznością żydowską, i w różnych językach między chrześcianami wyznań ewangielickich. Dla katolików tutejszych, których najwięcéj jest w kraju, znajduje się tylko Nowy Testament za kop. 15. Adolf Kantor utrzymujący ten zakład czyni odpowiednie kroki, aby całą Biblję X. Wójka po przystępnéj cenie mógł sprzedawać, aby większość kraju mogła czerpać pociechę i rezygnację w dni takie gdy żywy głos Kapłanów Katolickich dochodzić nie może, do zajętych pracą na utrzymanie rodziny. Daj Boże! aby się p. K. udało przeprowadzić to dzieło upowszechnienia Biblji między Katolikami, tak jak dotąd pomiędzy żydami i protestantami.

Na zakończenie, podajemy wyjątek z cennika tego: „Składu Biblij i Nowych Testamentów, u Adolfa Kantora w Warszawie, przy ul. Miodowéj w pałacu W. Grabowskiego Nr. 495 (3).

Biblje Polskie 8^0 oprawne w skórę kop. 45.

Nowe Testamenty Polskie 12^0 w płótno ang. dla katolików kop. 15.

Biblje Niemieckie 12^0 w płótno oprawne format kieszonkowy kop. 21.

Nowe Testamenty Niemieckie 32^0 w płótno angielskie kop. 6.

Biblje Hebrajskie 12^0 (Letteriset Abramsohn) w płótno ang. kop. 45.

Nowy Testament Hebrajski 24^0 w skórę kop. 24.

— *Anglik w kłopocie.* Przed kilku laty pewien Anglik przejeżdżał koleją żelazną pomiędzy Kownem a Wilnem. Słysząc, że niedaleko tego ostatniego miasta znajduje się tunel, postanowił, korzystając z ciemności jaka w tunelach zwykle panuje, odmienić bieliznę. Jakoż przygotował koszulę, mankiety, kołnierzyki etc. i czekał. Wreszcie pociąg wpadł w tunel ponarski, a zupełna ciemność otoczyła podróżnych. Uszczęśliwiony Anglik odwiązuje z szyi szalik, zrzuca surdut, kamizelkę, koszulę, gdy w tém, pociąg znowu wybiega na światło dzienne. O zgrozo! zdumieni podróżni patrzą i oczom swym nie wierzą... kobiéty oczy zakrywają, dzieci uciekają przestraszone, mężczyzni chcieliby się gniewać, gdyby scena nie była zanadto komiczną.

— Co panu się stało? zapytał go któryś z pasażerów, gdy Anglik znowu przywdział strój ludzi ucywilizowanych.

— Ha! ja sądziłem, że ten tunel będzie przynajmniéj tak długi jak Londyński, ale jak widzę on nie wart zwać się tunelem. Drugi raz będę ostróżniejszy.



Ryś.- (do strony 22-éj).

Myśli i Zdania.

— Wychować, jest to wykształcić wolę.

— Literatura jest obrazem życia narodów. Wniéj jak w zwierciadle, odbija się dola i niedola, nauka i błędy wieków.

— Środkiem bogactwa krajowego jest praca ogólna, czyli zużytkowanie właściwe zdolności jednostek.

— Oczy są obrazem duszy. Oszust je przymruża, aby ukryć ich wyraz.

— Uważaj zawsze na wrażenie jakie czyni na tobie pierwszy raz widziana osoba— Rzadko ono zawodzi.

— Jeżeli się dowiesz co nowego, bądź pewien, że niezadługo drugi i trzeci raz to samo usłyszysz, zwracaj więc na wszystko uwagę, jeśli chcesz wiele korzystać.

— Niewiesz że masz przyjaciela jeśliś mu nie wyjawił wszystkich swojch uczuć i jeśli czegokolwiek wyznać przed nim nie chcesz.

ZAGADKI.

4. Które zwierzę jest najsilniejsze?
(Ślimak, bo swój dom niesie.)
5. Który napój jest najmocniejszy?
(Woda, bo pędzi młyny i unosi okręty.)
6. Kto mówi wszystkiemi językami?
(Echo.)

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj—Redaktor Adam Mieczyński.